calość

Opłacono ryczałtem

Murzynek



Wydawca:
Sodalicja Klawerjańska,
Krosno, woj. Lwowskie.

Rok XXIV Czerwiec 1936 Nr. 6

„Murzynek“ katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wychodzi w różnych językach.

Prenumerata roczna 1.20 zł.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami: *Warszawa I*, Sodalicja Klawerjańska, ul. Warecka 10. m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. Lw.). — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Lwów*, p. K. Froniówna. ul. Ks. Bisk. Bandurskiego 11a. — *Częstochowa*, al. Najśw. Marji P. 79. — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 4. — *Łowicz*, pan Marjan Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33. — *Stany Zjedn. Ameryki półn.:* Sodality of St. Peter Claver, 3624 West Pine Blvd., *St. Louis, Mo.* — Dom główny: *Rzym.* Sodalizio di S. Pietro Claver, *Roma (123)*, via dell'Olmata 16.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.

Mała Haneczka Z., która od kilku lat abonuje „Murzynka”, chcąc przyjść z pomocą biednym dzieciom murzyńskim, odegrała na spółkę z rodzeństwem małą sztuczkę sceniczną. Przedstawienie udało się bardzo dobrze. Czysty zysk. zł. 4.70 przyniosła Haneczka do Sodalicji jako ofiarę na murzynków. Piękny przykład tej dzielnej dziewczynki godny jest naśladowania.



Najświętsze Serce Jezusa, przyjdź Królestwo Twoje!
(300 dni odpustu raz na dzień.)

Dziewięć pierwszych piątków

O. *Arpo*, Mboro.

Sylwja Jubongo to dziewczynka zaledwie dwunastoletnia. Przed dwoma laty przyjęła chrzest święty i od tego czasu uczęszcza do szkoły Sióstr, pragnąc sama zostać kiedyś nauczycielką. Wiele jej towarzyszek odprawiło nabożeństwo dziewięciu pierwszych piątków miesiąca, ale ona biedaczka, choć je rozpoczęła zeszłego roku, musiała je przerwać. Nie była to zresztą jej wina; wioska jej, leżąca po drugiej stronie rzeki Kwango, była odległa od kościoła

w Mboro o 80 kilometrów. W tym roku jednak zrobiła sobie mocne postanowienie doprowadzenia do skutku swego przedsięwzięcia.

Szkoły w tym kraju są czynne od października do Wielkiejnocy, w pierwsze przeto siedem miesięcy mogła dziewczynka łatwo zadośćuczynić swej pobożności, ale w kwietniu brakowało jej jeszcze dwóch pierwszych piątków... Co począć, kiedy dom tak daleko, a matka z niecierpliwością oczekuje jej przybycia do prac w polu?

Poszła tedy do domu. W czwartek 3. maja, obchodząc wioski, spotkałem Sylwję, idącą z towarzyszką do misji. Było około godziny drugiej po południu. Ujrzawszy mnie, zawołała ochoczo: „Ojcze, nieprawdaż, jutro pierwszy piątek?" „Tak, zdążysz jeszcze, moje dziecko". — „Ojcze, wypoczniemy tu nieco w cieniu, a potem ruszymy w dalszą drogę, choćbyśmy miały iść wieczorem, choćby w nocy..."

Nazajutrz o godzinie 6 z rana dzielna dzieweczka była już w kościele i przystępowała do komunji świętej wraz ze swemi dawnemi towarzyszkami. Wypoczęła u Sióstr w misji aż do niedzieli, a potem puściła się w powrotną drogę! Piękna podróż, ani słowa: 80 km.... i to bez noclegu w hotelu!

Pierwszego czerwca był pierwszy piątek miesiąca. Sylwja dotrzymała i tym razem swego przyrzeczenia. Wczesnym rankiem była już w kościele, znużona ale szczęśliwa, że może doprowadzić do końca swe nabożeństwo pierwszopiątkowe, a tem samem zapewnić sobie Wielkie Obietnice Najświętszego Serca.

Z jakąż radością niosła do domu duży obraz

Serca Jezusowego, podarek od Sióstr dla tego, kto odprawił to nabożeństwo!

Jakże nie ma Serce Jezusowe błogosławić tym żarliwym neofitom, którzy ponoszą tyle ofiar na większą Jego chwałę?

Na zakończenie chciałbym polecić Waszym modlitwom naszą stację misyjną Mboro z przeszło 3.500 chrześcijanami i niezliczonymi poganami. Potrzeba nam bardzo środków na utrzymanie czarnych nauczycieli i na zakładanie nowych stacyj misyjnych. Zapewniamy Was o naszych modlitwach oraz o modlitwach naszych neofitów.

Syn trędowatego

O. *Briandi* w Bahr-el-Ghazal.

Szalała wściekła burza, jedna z onych burz afrykańskich, o jakich się u nas nie ma pojęcia. Straszliwa wichura zginała gwałtownie korony najgrubszych nawet drzew; grzmoty i pioruny ogłuszały wprost człowieka. Przyczem lało jak z cebra. Schroniłem się do izdebki, czekając cierpliwie, aż się ten gniew afrykański zakończy. Wreszcie na rozkaz Boży, woda zatrzymała się i potężny promień południowego słońca przedarł chmury, dając nam uczucie ulgi. Natychmiast rozwarłem szeroko okno i drzwi i wyszedłem na dwór, by się rozkoszować widokiem obłoczków, rozpędzanych ostatniemi podmuchami wiatru. Wtem wśród wesołych krzyków chłopców doszedł mię z podwórza przeciągły lament. Poszedłem natychmiast przekonać się, o co chodzi, i spostrzegłem siedzącego na ziemi malca, który płakał rzewnie, patrząc z trwogą koło siebie. Zbliżyłem się doń, podczas gdy szkolni

chłopcy otoczyli go kołem. Biedak drżał na całem ciele z zimna i ze strachu; twarz miał wychudzoną i wynędzniałą. Na moje pytanie, co mu jest, nie dał żadnej odpowiedzi; nalegałem, — nic; płakał dalej i rozglądał się wystraszony. Zapytałem tedy chłopców, czy go znają, czy widziano, kto go przyniósł do misji. Lecz wszyscy przeczyli głową, nie dając mi żadnej wskazówki. Jeden tylko z nich rzekł: Ojcze, widziałem przedtem uciekającą stąd kobietę.

Lecz kto to był?

I ktoby ją poznał podczas tej ulewy?

Zaniosłem go tedy do Sióstr, nie wiedząc, komu go powierzyć, tak był mały. W pokoju, do którego go wniosłem, dwie dziewczynki zajadały polentę. Tęskne i spragnione oczy malca skierowały się natychmiast ku niej. Poprosiłem Siostrę, by mu przyniosła trochę strawy. Skoro ją ujrzał i zrozumiał, że to dla niego, trzeba było być obecnym, aby zrozumieć głód tego biedactwa! Wyciągnął łapczywie rączynę i jadł, jadł, póki nie skończył wszystkiego. Oddaliłem się, zdając go pieczy Siostry.

Najciekawsza scena rozegrała się wieczorem, kiedy w sypialniach dziewczynek zapanowało głębokie milczenie. Mały Peny, wylękniony tem niezwykłem milczeniem, zaczął płakać i drżeć na całem ciele. Matka Przełożona, usłyszawszy ów hałas, weszła do sypialni, w której leżał Peny, aby go uspokoić cukierkiem i pieszczotą. Ale jakież było jej zdumienie na widok Peny, który wlepił w nią wystraszone spojrzenie, podniósł piąstkę i począł krzyczeć głośno i dziko: „*Adei ke in! adei ke in!* Nie chcę cię, nie chcę cię!”

Za Matką Przełożoną weszły dwie inne Siostry; na ich widok mały Peny dostał jakby konwulsyj, uciekł w kąt izby i patrząc na Siostry



Ermin Peny, maleńki przewodnik niewidomego z misji Bahr-el-Ghazal.

ukradkiem, z wyciągniętemi rozpaczliwie piąstkami wołał: „*Ke benun! ke benun!* Nie przychodźcie, nie przychodźcie!"

Kto wie, jakie wrażenie wywołał na nim wi-

dok poczciwych Sióstr. Trzeba było wezwać jakąś kobietę murzyńską, aby go uspokoiła.

Następnego dnia dopytując się na prawo i na lewo, dowiedzieliśmy się wkońcu, że to był syn trędowatego Maduda. Matka mu umarła; ojciec niezdolny do żywienia go, oddał go pewnej kobiecie; ta jednak, mając własne dzieci, wolała pozbyć się chłopca i zaniosła go do misji. Widząc, że dziecko jest bardzo chore, postanowiliśmy je ochrzcić, nadając mu imię Ermina. Od tej pory Ermin stał się benjaminkiem wszystkich. Za staraniem troskliwych Sióstr, które z czasem pokochał, wzmocnił się na siłach i stał się dobrym chłopczykiem; czasem bywał kapryśny, ale w wieku 4 lat jest to błąd łatwy do poprawienia. Nie mogąc jeszcze chodzić do szkoły, zapełniał sobie czas własnym przemysłem, skacząc, jedząc i usługując trochę ociemniałym starcom w misji! Miło było patrzeć, jak czerpał dla nich wodę lub prowadził ich za rękę, kiedy chcieli wyjść z domu.

Niech mu Pan Bóg zawsze błogosławi i powoli wyróść na dzielnego pomocnika misjonarzy.

Wam, drodzy Czytelnicy, niech da serce litościwe względem tych nędzarzy, a nam niech pomaga doprowadzić ich do nieba.



Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



Zróbcie Mu miejsce, Pan idzie z nieba,
Pod przymiotami ukryty chleba.
Zagrody nasze widzieć przychodzi
I jak się Jego dzieciom powodzi...

Mały męczennik

dramat w trzech aktach

Ks. Karol Catanzariti. (Tłumaczenie z włoskiego).

(Ciąg dalszy.)

4 Scena.

Mosungu i powyższy (lub *Mosunga i powyższa*).

MBIRO - Witam cię, w imieniu wielkiego fetysza.

MOSUNGU - Dzień dobry, przyjacielu, czem mogę ci służyć?

MBIRO - Czyś przypadkiem nie widział w tej stronie dwóch zbiegów, młodego chłopca w towarzystwie niewolnika?

MOSUNGU - Nacóż to pytanie?

MBIRO - Jeden z nich jest synem Nyarogora, mego ojca, naczelnego wodza wielkiego plemienia Adasów, drugi — jego niewolnik, zbieg. Tak, odgadłem to już z twego spojrzenia; oni się tu skryli pod twym dachem... musisz mi ich zwrócić...

MOSUNGU - Cierpliwości, mój drogi. Jam ci nic nie wziął, nic ci przeto nie mam do zwrócenia.

MBIRO - Oni tu być muszą; ukryli się w cieniu tego sztandaru.

MOSUNGU - Wolno im się schronić, gdzie im się podoba. Jeśli obrali sztandar europejski, on ich będzie bronił od wszelkiej krzywdy i nikt ich nie tknie, dopóki ich sprawa nie zostanie rozstrzygnięta.

MBIRO - Ale, rozumiesz, oni należą do mnie! Jeden jest mym niewolnikiem, drugi bratem.

MOSUNGU - Czy rzeczywiście tem są dla-ciebie, nie wiem.

MBIRO - Ja ci to powiadam.

MOSUNGU - Nie wystarcza mi to, że ty mi to mówisz... ja nie wiem, kto ty jesteś. Możesz być nawet uczciwym młodzieńcem, jeśli chcesz, ale ja cię nie znam. Jakikolwiek bądź oszust i hultaj mógłby tak jak ty przyjść tutaj i dowodzić z przekonaniem, że ma nad nimi prawo, bylem mu ich tylko wydał, a potem uczyniłby z nimi, co mu się podoba, nieprawdaż....

MBIRO - Masz rację... ale słuchaj, upewniam cię, że oni należą do mnie... i muszę ich mieć koniecznie.

MOSUNGU - Bardzo mi przykro, ale dać ci ich nie mogę... Skoro się schronili pod trójkolorowy sztandar, nie może ich nikt ani tknąć . . . władza zaopiekuje się nimi, aż do przeciwnego wyroku.

MBIRO - Jeśli mi nie chcesz wydać brata, niechtam... trzymaj go u siebie... wiem, że jest w dobrych rękach... przyjdzie Nyarogoro, mój ojciec, by ci go odebrać, jemu wydasz go niezawodnie, upewniam cię... ale niewolnika musisz mi zwrócić natychmiast, ten potrzebny, mi jest zaraz.

MOSUNGU - Sztandar trójkolorowy nie czyni żadnej różnicy między wolnymi i niewolnikami ; opiekuje się on wszystkimi jednakowo.

MBIRO *(rozogniony)* — Nim słońce dziś zajdzie, on musi być złożony na ołtarzu jako ofiara zadośćuczynienia wielkiemu fetyszowi.

MOSUNGU *(z oburzeniem)* - Złożony w ofierze fetyszowi ?

MBIRO - Tak.

MOSUNGU - Jeden powód więcej, by ci go nie wydać.

MBIRO - Ależ Gesengi, wielki czarownik, najwyższy sługa fetysza, domaga się go koniecznie; jeśli nie, biada memu ojcu!... Najokropniejsze nieszczęścia, plagi najstraszniejsze dotkną mój dom, dom mego ojca... Gesengi sam to powiedział... Gesengi nie żartuje, nie....

MOSUNGU - Bardzo mi przykro, ale dać ci go nie mogę.

MBIRO *(przerażony)* - Mosungu! Co mówisz? Nie boisz się więc gniewu okropnego Gesengi?

MOSUNGU *(obojętnie)* - Nie, nie boję się go bynajmniej.

MBIRO *(z podziwem)* - Ale może ty nie wiesz, kto to jest Gesengi?

MOSUNGU - Niestety, wiem to dobrze; jest on pierworodnym synem szatana.

MBIRO - On może wszystko!

MOSUNGU - Z naiwnymi i głupimi tak, ale nie ze mną. Nade mną i nad wyznawcami Chrystusa nie ma on żadnej mocy. Jeśli on jest sługą szatana, by wieść dusze do zguby, to ja jestem sługą Najwyższego wiecznego Boga, przed którym i sam szatan skłania głowę i musi Go, chcąc nie chcąc, słuchać.

MBIRO - Dobrze... przyślę ci tu wielkiego Gesengi, czarownika... zobaczymy, co potrafisz przeciw niemu... zobaczymy, kto z was dwóch zwycięży...

MOSUNGU - Kto zwycięży?... *(z godnością)* Jak Bóg żywy, Pan nasz zwycięży... któż jest jako Bóg?... Tak, niechże przyjdzie tu Gesengi ze wszystkiemi swemi piorunami, ze wszystkie-

mi zaklęciami . . . nie boję się go, śmieję się z niego.

MBIRO - Mosungu!... uważaj co mówisz, z Gesengim się nie żartuje... Na jego widok wszystko milknie... wszystko umiera... pożałujesz tego!..:

MOSUNGU *(sucho)* - Nie troszcz się; ja sam o tem pomyślę... Idź i donieś mu wszystko, coś słyszał, wszystko, com ci powiedział.

MBIRO - Przenigdy!... padłbym natychmiast trupem u jego stóp... Więc jakże wreszcie?... dajesz mi niewolnika czy nie?

MOSUNGU *(stanowczo)* - Powiedziałem, że nie, więc nie!... Jakto?! czyżbym miał pozwolić na to, by dusza, przez chrzest św. poświęcona Chrystusowi, miała być ofiarowana czartu!... Idź, i ani nie myśl o tem!

MBIRO *(grożąc)* - Mosungu!... drżyj!... zobaczymy się jeszcze *(odchodzi)* ale biada! biada!..

MOSUNGU - Tak, tak, dobrze... Nie obawiam się twoich gróźb.

Scena 5.

Mosungu sam (lub *Mosunga sama.)*

MOSUNGU - Co za okropność!... czyż to możliwe, żeby za dni naszych, kiedy to tyle się mówi o wolności, istniały jeszcze ludzkie ofiary!... Dokądże te biedne i nieoświecone ludy będą igraszką w rękach czarowników, którzy korzystając z ich naiwności i łatwowierności, czynią z nimi, co im się podoba, i popychają ich do najwstrętniejszych występków, aż do składania ludzkich ofiar na ołtarzu bożka? !... O święta wiaro Chrystusowa, kiedyż wreszcie ogarniesz światłem swem i te biedne ludy, pogrążone dotąd jeszcze w błędzie, w cieniu i ciemnościach

śmierci?... kiedyż wreszcie będzie dostateczna ilość głosicieli Ewangelji świętej, by szerzyć wszędy Dobrą Nowinę i prowadzić tych biedaków do poznania Wiary, do światła chrześcijańskiej cywilizacji?! O Boże mój, niechże przyjdzie Królestwo Twoje, niechże nadejdzie wkrótce ten błogosławiony dzień, w którym i z tej biednej Afryki stanie się, jakoś Sam przyrzekł, jedna Owczarnia pod jednym Pasterzem! O, niech nadejdzie wkrótce! Adveniat regnum tuum (*wychodzi*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czarny Alojzy

O. *Quaglia*, misjonarz della Consolata, Kaffa.

Noc już była prawie, gdy mnie wezwano do chorego. Byłem porządnie uznojony, cały dzień bowiem młot i piła były w robocie. Przy pustkach w kasie domy nie budują się same ze siebie, trzeba dobrze rąk dołożyć. Zamierzałem właśnie dać już pokój na dzisiaj.

Należało jednak zbierać się do drogi. Przygotowawszy dwa węzełki, jeden z lekarstwami a drugi, daleko ważniejszy, z lekami dla duszy, zacząłem się oglądać za chłopcem, któryby mi mógł towarzyszyć. Ojciec Bertone podsunął mi natychmiast Alojzego.

— „To mu pewnie nie będzie na rękę” odpowiedziałem. „Po szkole przecież napracował się dosyć przy uprawie kawy.”

— „Myślę, że możnaby jednak spróbować”, odparł O. Bertone. „Ta wyprawa będzie dobrem doświadczeniem dla chłopca, który wzdycha za seminarjum.”

— „Dobrze zatem, niech Alojzy idzie ze mną.

Dziś muszę drogę tę odbyć pieszo, będzie miał sposobność przekonać się, że życie nasze nie zawsze jest takie słodkie, jak się wydaje. Nasi Oromo uważają, że nie godzi się misjonarzom — a nawet zwyczajnym świeckim Europejczykom obywać się bez muła, który przecież zapewnia niejaką wygodę.”

Zawołaliśmy Alojzego, który nie dał się prosić i zaraz, wziąwszy w rzemyki tłumoczek z lekarstwami poszedł za mną. Na rozmowę po drodze nie było czasu, ani też warunki nie były po temu. Należało wytężać oczy i uwagę, bo ścieżka była bardzo nierówna i błotnista. Przynaglała nas bliska noc i myśl o chorym starcu, wyglądającym chrztu. Śpieszyłem zadyszany i spocony. Alojzy również oddychał szybko, lecz się nie skarżył.

Maszerowaliśmy całą godzinę, ale zdążyliśmy na czas, tak że nietylko ochrzciłem chorego, ale udzieliłem mu również ostatnich olejów św., które tchnęły w niego nowe życie. Dogorywający przyszedł do siebie w ciągu nocy, tak że nazajutrz zastaliśmy go, siedzącego spokojnie przy ogniu i rokującego najlepsze nadzieje.

Co jednak przedewszystkiem chciałem Wam powiedzieć, to to, że mój mały zakrystjan sprawił się bardzo dobrze i odpowiadał mi doskonale, z powagą i ze skromnie spuszczonemi oczyma. Byłem rad z niego. Z poczwarki *oromo* zapowiadał się piękny motyl.

W drodze powrotnej uważałem, że niema celu narażać swoich nóg wśród takich ciemności i szedłem już krokiem powolnym. Młody mój towarzysz postępował za mną w milczeniu. Chwila sposobna, by pobudzić go do wynurzeń. — „Czyś bardzo zmęczony?” zapytałem. — „Wcale nie,

Ojcze." — „Prawda, młodszy jesteś ode mnie... Na przyszły raz wezmę kogo innego z sobą. Raz



I w Afryce czyści się buty.

pójdzie ten, raz ten, to lepiej, nieprawdaż?

— „Ojcze... czy ja może co źle zrobiłem?"

— „Ależ przeciwnie, odpowiadałeś doskonale."

— „Jeżeli tak, to bierz mnie zawsze ze sobą. Tamci chłopcy są za mali!”

— „O chytra sztuko! Wykręcasz się — Boisz się przyznać, że chciałbyś się przyzwyczaić zawczasu do naszych obowiązków?”

Mimowoli przystanąłem. Dziecko jak na spowiedzi ze spuszczonemi oczyma i złożonemi rękoma szepnęło: „Nie śmiałem tego powiedzieć. Ja jestem Oromo, a kapłani katoliccy są wszyscy Europejczykami..”

— „Jeżeli o to tylko chodzi, to nie masz się czego obawiać. Są także kapłani brunatni, czarni, ze szczepu Galla, Sciankalla i innych. Skoro tego pragniesz, to jeżeli cię Pan Jezus powoła, i ty możesz zostać kapłanem...”

Puściliśmy się w dalszą drogę. Alojzy szedł teraz u mego boku; rozmawialiśmy swobodnie i szczerze.

„Czekają cię jednak długie lata nauki, ćwiczenie uciążliwe w posłuszeństwie, pracy, modlitwie. Być gotowym na każde wezwanie, mówić na wszystko „tak”, nie posiadać ani grosza własnego, ani własnego kąta i nad to wszystko być czystym jak anioł; iluż seminarzystów nie może się z tem pogodzić i zawraca z drogi!...”

— „O! ja nie chcę myśleć o tych, co zawrócili, ja patrzę na św. Alojzego, którego imię noszę. Mam już lat przeszło piętnaście i już od czasu chrztu nie dzielę zapatrywań moich ziomków...”

Czyż nie warto opuścić swej ojczyzny, serc kochających i ukochanych, porzucić snów, które mogły były się spełnić, by znaleźć taką latorośl szlachetną, która pragnie być wywiedziona ku słońcu, co jej dało życie? Ach! zbawić taką duszę a potem umrzeć!... A śmierć jeszcze słodsza wtedy, gdy ta dusza, stawszy się „drugim Chry-

stusem", przejmuje nasze dziedzictwo, które przez nią dalej będzie owocowało jako skarb niewyczerpany, poczęty z krwi Ukrzyżowanego Boga-Człowieka...

Nie mógł mi więcej szczęścia przynieść ów błogosławiony dzień. Co za radosny wieczór; nie żałowałem zdartego w dalekim marszu obuwia, pełnego wody i błota. (Dokończenie nastąpi.)

Łamigłówka

Z poniższych wyrazów wyjąć po dwie obok stojące litery (z wyrazu szestnastego trzy litery), które razem utworzą znane przysłowie:

Wojewoda, warstwa, latorośl, mocny, błoto, koran, Ładoga, owocny, motyle, lampart, mitra, korzec, Rzym, brać, zajęty, okrzyk, Warszawa, narzędzie, baraki, komitet.

ROZWIĄZANIA z Nr. 5-go:

R	a	m	a			
A	r	a	b			
M	a	r	s			
A	b	s	a	l	o	n
			l	i	p	a
			o	p	a	r
			n	a	r	t

Biały, **o**tworzyć, **ż**ebrak, **e**meryt, **c**oś, **i**naczej, **a**nioł, **ł**atwo, **o**calić.

Boże Ciało.

ODPUST ZUPEŁNY

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki":

11 czerwca w dzień św. Barnaby Apostoła;
29 czerwca w dzień śś. Apost. Piotra i Pawła.

Redaktor odpowiedzialny Marja Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.



„Chleb św. Antoniego dla Afryki".

Odmawiając kilka razy na dzień w Modlitwie Pańskiej słowa: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", nie bardzo się, mili Czytelnicy, troszczycie o ten chleb powszedni, bo wiecie, że Wasi drodzy rodzice dadzą go Wam z pewnością i może jeszcze coś do niego.

Ale, niestety, jakże inaczej dzieje się w Afryce, gdzie susza, trwająca nieraz całe miesiące, ba, lata, pustoszy często całe zbiory tak, że ludzie padają z głodu jak muchy. W innych znowu okolicach żarłoczna szarańcza zjada już dojrzewające zboże i biedni mieszkańcy, tak starzy, jak i dzieci, wy-

ciągają ręce do misjonarza, błagając o kawałek powszedniego chleba....

Znacie zapewne św. Antoniego, wielkiego Cudotwórcę, którego uroczystość obchodzi się 13 czerwca? Jest on Patronem, jak to mówią „od rzeczy zgubionych", bo wstawiennictwo jego jest bardzo potężne, kiedy chodzi o odnalezienie rzeczy jakiejś zaginionej, zwłaszcza jeśli się swą prośbę poprze jałmużną na t. zw. „*Chleb św. Antoniego dla Afryki*". Sodalicja św. Piotra Klawera przekazuje te ofiary najbardziej potrzebującym misjom afrykańskim, dotkniętym bądź suszą, bądź szarańczą, lub innemi klęskami. Serdeczne „Bóg zapłać!" tych nieszczęśliwych będzie za to Waszą nagrodą. Adresy na drugiej stronie okładki.

....

Na czas wakacyj.

Starosielce: Mała Tala Ż., gorliwa pracowniczka misyjna urządziła tutaj przedstawienie. Wykorzystała dobre chęci swego rodzeństwa i koleżanek i włożyła w tę pracę tyle zapału, nie żałując czasu na przygotowanie, że musiało się udać dobrze. Piękne kostjumy swego pomysłu i wykonania i całkiem zadowalająca gra, uczyniły widowisko bardzo miłe. Dochód w kwocie 6.- zł. przesłała Tala misjom. Kto z Czytelników pójdzie pierwszy w ślady małej apostołki ?

Teraz, w czasie feryj letnich, tyle dzieci nie ma co robić z wolnym czasem i najczęściej wypełnia go pustemi i nieraz szkodliwemi rozrywkami, a przecież można tak wesoło spędzić wakacje, naśladując te dobre dzieci i organizując jakieś małe imprezy. Będzie to wielką przyjemnością tak dla grających, jak i dla gości, a jednocześnie jeszcze jedna cegiełka zostanie dołożona do budowy tego potężnego gmachu, jakim są misje katolickie.